

POLITYKA

Ku ostatnim przełomom.

Dnia 20 marca odbyły się na terenie Prus Wschodnich wybory do Sejmu. Wybory te odbywały się pod znakiem zajadłej propagandy przeciw państwu koalicyjnym z racji uchwały konferencji paryskiej, nakładających na Niemcy obowiązek wypłaty odszkodowania w sumie 226 miliardów marek w złocie. Niemcy oficjalnie, rząd i parlament, dały hasło do tej orgii inwektyw, ataków, obelg, skierowanych przeciw Francji zwłaszcza i jej nacjonalizmowi. I w tej atmosferze podnieconych nastrojów i rozfanatyzowanych poszli Prusacy do urny.

Wynik był łatwy do przewidzenia. Zwycięstwo szowinizmu niemieckiego i junkierskich idei pangermanistycznych, dało znaczny sukces dwóm skrzydlom stronnictw niemieckich. Wzmocnione zostały kadry posłów pruskich prawicy, więc „deutsch-nationale” hakatyści niemieccy wyszli we wzmocnionej sile z głosowania, równocześnie zaś spotężniała cyfra skrajnej, komunistycznej lewicy pruskiej, iż Spartakus berliński uzyskuje nowe podstawy w sejmie pruskim, skutkiem wzmoczonej liczby posłów tego stronnictwa.

Wynik wyborów pruskich daje obraz domniujących dziś na terenie Prus nastrojów politycznych. Po dwu latach od zawarcia rozejmu po przegranej wojnie, rdzeń niemiecki, te Prusy, które zawsze wywierały decydujący wpływ na politykę całych Niemiec, żyją pośród dwu skrajnych ostateczności politycznych: wszechniemieckiej polityki junkrów-monarchistów i pangermanistycznej reakcji niemieckiej, marzącej o powrocie Hohenzollernów na tron, oraz komunistycznych koncepcji pruskiego Spartakusa, śniącego sojusz z czerwoną Rosją, i przy jej pomocy otrząśnięcie się z więzów traktatów wersalskich.

W dzień po wyborach pruskich, rozpoczęły się obrady konferencji londyńskiej. Jakkolwiek głównym problemem, który rozstrzygany będzie podczas obrad w stolicy Anglii, będzie sprawa turecka, wogóle zagadnienie wschodu, poczem z dniem 1-go marca wejdzie pod obrady sprawa ostatecznego uregulowania kwestji odszkodowań niemieckich i sposobu ich wypłaty, jednak pośród rozstrząsań nad temi sprawami, decydowane są równocześnie i inne zagadnienia, doniosłego znaczenia.

Jedną z tych decyzji jest ostatnia uchwała premierów państw koalicyjnych oznaczająca urzędowo termin plebiscytu na ziemi górnośląskiej na dzień 20 marca. Tę doniosłą uchwałę powitała polityka polska z głębokim westchnieniem ulgi, jako zrealizowanie naszego dezasteru narodowego, gdyby nie dodatkowa uchwała przevorsowana głosami angielsko-włoskimi, ażeby głosowanie w tym terminie obejmowało zarówno ludność tubylczą górnoślązaków, oraz owych przyjezdnych band włóczęgów zmobilizowanych przez rząd niemiecki, zwanych delikatnie „emigrantami”.

Ta druga uchwała londyńska jest gestem ustępstw wobec rządu niemieckiego i jest znów objawem niewątpliwym, że rząd angielski nie zmienił swej konsekwentnej polityki, która w sprawie Górnego Śląska ma ukryty interes własny w tem, by o ile możliwości ułatwić Niemcom osiągnięcie na Śląsku tych sukcesów w głosowaniu, któreby dały substrat pod przyszły podział Śląska Górnego wedle pewnych zgóry pomyślanych planów, między Polskę i Niemcy.

Trudno dziś oczywiście stwierdzić o ile najazd 200,000, czy mniejszej nieco cyfry „emigrantów” wpłynie poważnie na wynik głosowania. Chodzi tylko o ten fakt, że przybycie tej armji zaciężnej prusaków na Śląsk i głosowanie w jednym i tym samym dniu z ludnością tubylczą, może być hasłem do starcia się ludności polskiej z prowokatorami pruskimi, a z drobnej iskry może dojść łatwo do potężnego pożaru, za który odpowiedzialność spadnie niewątpliwie na niefortunnych

projektodawców angielskich wspólnego głosowania.

W tem świetle groźby konfliktu na spornym terenie polsko-niemieckim, tem większego znaczenia nabierają rokowania ryskie, które weszły w ostatnie stadium przed ostatecznym ich sfinalizowaniem. Przyjazd ministra Steczkowskiego i Krasina do Rygi dał podstawę do wzajemnej wymiany poglądów, która wpłynęła o tyle na tok rokowań, iż z martwego punktu ruszone, obrady wykończyły pewne części traktatu o reewakuacji mienia, i o powrocie jeńców, przyczem ze strony polskiej zgodzono się na sześciotygodniowy termin do wypowiedzenia rozejmu.

Wedle ostatnich relacji, ponieważ wojska sowieckie zaatakowały wraz z oddziałami ormiańskimi Gruzję, rząd sowiecki, chcąc zamianować wobec świata swą pokojową tendencję, skłonny jest rzekomo szybko zawrzeć pokój z Polską, co mogłoby nastąpić w ciągu najbliższych tygodni.

Przypuszczać jednak należy, że dotychczasowa taktyka sowieckich rokowań raczej zdążać będzie i nadal do przeciągnięcia rokowań aż po termin plebiscytu górnośląskiego, politycy sowieccy są bowiem zbyt przewidującymi, a relacje Koppa z Berlina zbyt szczegółowe, by rząd sowiecki nie zechciał spróbować, czy przy okazji konfliktu górnośląskiego, nie wyłoni się taka sytuacja polityczna, w której uda się wyzyskać niejeden moment korzystny dla Rosji, a chociażby wytażować któryś z warunków, przy którym dziś delegacja polska stoi twardo i nieustępliwie.

I dlatego dziś cała waga polityki polskiej koncentrować się zaczyna na kresach zachodnich Polski. Tam, w przeciągu trzech tygodni rozstrzygnie się jedno z przełomowych zagadnień państwa polskiego. Jeśli szczęśliwie p. zebranie nawa państwowa przez te ostatnie Sylle i Charbydy, zaczniemy nowy okres życia politycznego już bez burz i chmurnych widnokręgów i mni j, lub więcej bolesnych niespodzianek ze strony naszych „przyjaciół” i naszych nieprzyjaciół.

Dr. Adam Brzeg.

NA PLACÓWCE.

—o—

Strzały Amora.

Nikt nie zaprzeczy temu, że przynajmniej do jednej rzeczy na świecie, każdy ma jednako prawo — tą „jedną rzeczą” jest miłość. Do miłości każdy ma prawo, bo już taki jest porządek rzeczy na świecie, że ludzie kochają się jak warjaci, bez względu na to czy taka miłość ma sens czy nie — gorzej nawet: im mniej jest sensu, tem miłość jest gwałtowniejsza, a najgwałtowniejsza jest dopiero wtedy zaprawde, kiedy niema wogóle wcale żadnego sensu.

Jeżeli dodamy do tego, że miłość nie liczy się z żadnymi względami natury społecznej i politycznej, drwi sobie ze wszystkich przesądów klasowych, szydzi z urodzenia i z jednakową zupełnie nonszalancją daje prztyczka w nos, tak samo jasnie panu hrabiemu jak i jego lokajowi — zrozumiemy dopiero wtedy, jakiego może narobić ambarasu miłość, dla której nie istnieje nikt i nic — prócz jej samej.

Ten Demon egoizmu, jest jednak czynnikiem niezwykle demokratyzującym społeczeństwo. Gdyby nie miłość, która potrafi tworzyć cuda (i to jeszcze jakie), ludzie takby się różniczkowali — że ostatecznie przestaliby być ludźmi — a staliby się tylko członkami pewnych zawodów i na tem koniec!... Całe społeczeństwo zakrzepłoby w arystokracji swego fachu.

Córka stolarza nigdyby nie wyszła za mąż za syna kowala.

Syn ślusarza nie chciałby się ożenić z córką garbarza i t. d. — Adwokat, lekarz, urzędnik, rzemieślnik uważałby sobie za szaloną obrazę i upadek swego rodzinnego honoru, gdyby miał się spokrewniać z przedstawicielami innego zawodu.

Dzisiaj mimo ustawicznie powtarzających się lekcji skromności, którą ludziom daje miłość (w sposób zresztą nie zawsze skromny), człowiek jest tak skłonny do wysokiego o sobie mniemania, że nawet wpada w oburzenie, gdy jego syn np. nie bacząc, że jest synem, przypuszcza majstra od urzynania ludzkich gnatów — czyli chirurga — zakocha się w córce majstra od urzynania bydłych gnatów — czyli rzeźnika. Wierzajcie mi: miłość jest cudowną propagandą demokracji — i należy tej pro-

pagandzie sprzyjać, ach — sprzyjać!... Należy ją popierać, do czego zresztą nikogo nie należy zachęcać, albowiem jak mówi Boy:

Dzisiaj prosty czy krzywy
Każdy chce być szczęśliwy,
Ach to czysta warjacja
Ta — demokracja!

Cóż więc dziwnego, że gdy każdy chce być takim „demokratą”, to i policjanci jako że są demokratycznym duchem owionięci, także sprzyjają tej propagandzie. Bo któż im tego może zabronić? Czyż nie są ludźmi?... Ależ tak! Czyż nie są mężczyznami. Ba, jeszcze jakim!... Naturalnie! Któż im może zabronić się kochać? Nikt! Jeden Pan Bóg, gdyby się chciał do tego mieszać, Wobec tego zatem — kochajmy się!...

Tylko, że jest pewne, małe, maleńkie: „ale”. „Ale” musi być wszędzie — nic więc dziwnego, że znajduje się i tutaj, na zakończenie tak prostej, pozornie bezspornej sprawy. Amor strzela — Pan Bóg strzały nosi, a kobieta serce nadstawia. Nastawia także i mężczyzna. Strzały trafiają do celu z taką nie tyle celnością, ile czelnością, że gdy jest wiosna i za parkanem Ujazdowskiego Parku kwitną już bzy, Pogotowie Ratunkowe ma pełne ręce roboty. Apteki sprzedają kwas karbolowy wiadrami, „veronal” idzie na funty, koło pomnika Sobieskiego samobójcy z miłości, strzelają do siebie z karabinów maszynowych. Piękna, słodka miłość, czyni spustoszenia... Miłodość jej sekunduje. Temu wszystkim przypatrują się (w wolnych chwilach od ratowania niedoszłych „murzynów”) policjanci z melancholijnymi uśmiechami na ustach, a ten który rozumie naprawdę swoje stanowisko w społeczeństwie, patrzy na te szaleństwa nie bez pewnej zazdrości.

Bo on wie dobrze, że policjantowi rasowemu, nie wolno się kochać — że się tak wyrażę publicznie. Rasowy policjant o ile jest w mundurze, nawet własną narzeczoną prowadzi pod rękę tak poważnie, jakgdyby prowadził swą własną żonę w 10 lat po piątej rocznicy ślubu. Bo wyobraźmy sobie zakochanego policjanta, który przytulony do ramienia ładnej panny Zofji (czy Ireny) szepce jej do ucha, głosem który drży (oczywiście) „pod naporem wzruszenia”.

— Pani jest cudowna, jak Boga kocham, żebym tak jutra nie doczekał, że piękniejszej

kobiety nie widziałem w życiu. Och, panno Zofjo! Ja panią ubóstwiam. Cały świat nie mnie nie obchodzi!... Żeby tam nawet w tej chwili okradli braci Jabłkowskich, albo żeby się spalił jaki drugi skład Kochanowicza, — to ja pani nie porzucę ani na chwilę. Och, panno Zofjo (albo Irenol) Pani jest, jak gwiazda na niebie, jak jabłko w raju, jak sam miód w ulul Tymczasem sprytny jakiś złodziejasek, korzystając z miłości p. przodownika, wyciąga portmonetkę z kieszeni jego narzeczonej.

Po chwili krzyk: „Ach, jestem okradzion!” Usłużni przechodnie łapią złodzieja i oddają go w ręce rozkochanego policjanta.

Ten zakrywa twarz rękoma.

— O, mój Boże! — woła. — W takiej chwili, kiedy zdawało mi się, że aniołowie śpiewają mi nad uchem, ten chłopak myślał o kradzieży. Nie uszanowałeś mojego wzruszenia — mówi z wyrzutem do złodzieja. — Ale to nic! Nie rozumiesz, co to znaczy miłość. Nie masz, chłopczyno, panny Zofji (albo Ireny). Ta niebiańska istota nauczyłaby cię kochać i cierpieć!...

Wreszcie puszcza kołnierz złodziejaska, którego trzymał krzepko przez przyzwyczajenie i mówi:

— Idź do domu i popraw się.

Poczem przytuliwszy się jeszcze bardziej do ramienia panny Zofji (czy Ireny), stróż prawa deklamuje jej cicho, z braku znajomości innej poezji — „Ojca zadżumionych”.

A przecież do miłości każdy ma prawo niezaprzeczone. To prawda! Tylko że koniec strzały Amora jest umaczany w miłosnej truciznie, która ma między innymi tę właściwość, że robi zakochanego śmiesznym dla tych, którzy się jeszcze nie zakochali, lub też już się przestali kochać. Niestety — tak jest, i dlatego ci, którzy noszą mundury stróżów prawa i obowiązku, nie mogą być nigdy, nawet przez 5 minut śmiesznymi dla nikogo — nigdy!

Do miłości ma prawo każdy — to prawda, ale i śmiesznym też każdy być może. Wobec tego zatem, że zbliża się wiosna i Amor wypchał swój kołczan całą paką strzał... moi mili czytelnicy — pamiętajcie — kochać się (jeżeli to już będzie konieczne) — przynajmniej nie w mundurze. No... i nigdy przy księżycu wśród woni bzów i ironicznych spojrzeń — otoczenia!...

St. Kiedrzyński.